

WILLIAM LINDSAY GRESHAM

● I

XXII ☾



ZAULEK
KOSZMARÓW

WILLIAM LINDSAY GRESHAM

ZAULEK KOSZMARÓW

PRZEŁOŻYŁ
Ryszard Oślizło



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Nightmare Alley

Redaktorki prowadzące: Ewelina Kapelewska, Ewa Pustelnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Adrian Kyć / Rytm pisania

Korekta: Monika Kardasz

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Ilustracje na okładce: © Bernhard Siegfried Albinus *Tabulae sceleti et musculorum corporis humani* / National Library of Medicine's Historical Anatomies on the Web / www.nlm.nih.gov © Creative Commons Zero / MaxPixel.net
DTP: pagegraph.pl

Copyright © 1946 by William Lindsay Gresham

Copyright renewed © 1974 by Renee Gresham

Introduction copyright © 2010 by Nick Tosches

All rights reserved

Copyright © 2022 for the Polish edition by Mova
an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Ryszard Ośliżło, 2021

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2022

ISBN 978-83-67069-35-9

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl





KARTA I

Głupiec

*który w błazeńskiej szacie,
z zamkniętymi oczami, kroczy ku
przepaści na końcu świata*

Stan Carlisle stał spory kawałek od wejścia do brezentowej zagrody, w świetle gołej żarówki, i obserwował świra.

Świr był chudzielcem ubranym w długą jednoczęściową bieliznę na guziki zafarbowaną na czekoladowy brąz. Czarna peruka przypominała starą miotłę, a brązowy makijaż na wychudzonej twarzy spływał i rozmazywał się od gorąca. Wokół ust był już całkiem starty.

W tej właśnie chwili opierał się o ścianę zagrody, a na ziemi wokół niego leżało kilka – żałośnie niewiele – węży; luźno zwinięte i wyraźnie ociężałe od upału letniego wieczoru, zdawały się podrażnione rażącym sztucznym światłem. Jeden cienki, niewielki lancetogłów próbował wspinać się na brezentową ścianę i odpał od niej raz za razem.

Stan lubił węże; to im współczuł, że muszą tkwić w tej zagrodzie z takim osobnikiem jak ten tam. Na zewnątrz naganiacz

trajkotał jak nakręcony. Stan rzucił okiem spod schludnej blond fryzury w stronę wejścia do namiotu.

– ...skąd się wziął? Bóg jeden wie. Znaleźli go na bezludnej wysepce pięćset mil od brzegu Florydy. Przyjaciele, w tej oto zagrodzie ujrzycie jedną z niewyjaśnionych zagadek wszechświata. Czy to człowiek, czy jaka bestia? Zobaczcie, jak się gnieździ wśród najjadowitszego plugastwa, jakie ziemia nosi. Jak tuli te gadziny niczym matula dziecię najukochańsze. Nie trza mu jeść ani pić, bo się żywi powietrzem. Ale jeszcze raz go nakarmimy! Tylko skromna dopłata za ten dziw nad dziwy, mniej niż dolar, mniej niż ćwierć: jedyny dziesiątąk, dwa piątaiki, dziesiąta część dolara. Żwawo, żwawo, żwawo!

Stan wycofał się na tyły brezentowej zagrody.

Świr pogrzebał pod jutowym workiem i coś tam znalazł. Skrzypnął wyciągany korek, rozległo się kilka głośnych łyków i zadowolone sapnięcie.

Do zagrody już pchali się „frajerzy” – młodzi faceci w słomkowych kapeluszach i z przerzuconymi przez ramię okryciami, gdzieś tam grube babsko o świdrujących oczkach. „Czemu takie kluchy zawsze świdrują oczami”, zastanawiał się Stan. Dalej jakaś wychudła kobieta z anemiczną dziewczynką, której przyrzekła, że zobaczy wszystko, co jarmark ma do pokazania. No i pijak. Jak w kalejdoskopie – co rusz inny wzór, elementy zawsze te same.

Przez tłumek przecisnął się Clem Hoately, właściciel tego spektaklu „Dziesięć za jedną opłatą” i zarazem jego naganacz. Wyłowił z kieszeni flaszkę z wodą, pociągnął haust, żeby przepłukać gardło, i wypłuł go na ziemię. Potem stanął na schodku. Odezwał się głosem nagle niskim, gawędziarskim, który zdawał się otrzeźwiać gawiedź.

– Słuchajcie, ludziska, i dobrze zapamiętajcie: ten oto pokaz służy najsampierw szerzeniu nauki i wiedzy. Ta istota, co ją tu macie przed oczami...

Jakaś kobieta spuściła wzrok i dostrzegła małego węża, który wciąż gorączkowo usiłował wypełznąć z pułapki. Wciągnęła powietrze przez zęby, aż świsnęło.

– ...została zbadana przez najtęższe umysły w Europie i w Ameryce i uznana za człowieka. Znaczy to, że ma dwie ręce, dwie nogi, głowę i tułów, jak każda ludzka istota. Ale pod tą owłosioną czaszką kryje się mózg dzikiej bestii. Sami widzicie, że woli się gnieździć z tą gadziną z dżungli, niż przebywać z ludźmi.

Świr chwycił czarnego węża i podniósł go, ściskając tuż za łbem, żeby nie dać się ukąsić, a potem zaczął kołysać go w ramionach jak niemowlę i coś doń mamrotać.

Naganiacz odczekał parę chwil, gdy gawiedź wyciągała szyje.

– Zapytacie, jakże on tak się kuma z jadowitymi gadami bez żadnej krzywdy dla siebie. Najgorszy ich jad, przyjaciele, mu nie zaszkodzi. Ale niechby on sam zatopił kły w mojej dłoni, a jak nic byłoby po mnie.

Świr warknął gardłowo, mrugając głupawo w osłepiającym blasku gołej żarówki. Stan zauważył, że w kąciku jego ust błysnął złoty żąb.

– Lecz przecie, panie i panowie, mówiąc wam, że ten stwór jest bardziej bestią niż człowiekiem, nie proszę, byście wierzyli mi na słowo. Stan... – zwrócił się do młodego mężczyzny, którego lśniące niebieskie oczy patrzyły bez wyrazu. – Stan, zaraz nakarmimy go raz jeszcze na oczach naszej miłej publiczności. Podaj mi koszyk.

Stanton Carlisle schylił się i schwyciwszy za pałąk niewielkiego koszyka z przykrywką, takiego, z jakim chodzi się na targ, uniósł go nad głowami gapiów, a ci odskoczyli do tyłu, tłocząc się i przepychając. Clem Hoately, naganiacz, roześmiał się z niejakim znużeniem.

– Bez nerw, ludziska; to nic, czego już byście nie widzieli. Po mojemu wszyscy wiecie, co to takiego. – Z koszyka wyciągnął zwykłego niewyrośniętego kurczaka, który zagadał z oburzeniem. Podniósł go wysoko, żeby wszystkim pokazać. Ruchem drugiej ręki poprosił o ciszę.

Opuścili głowy.

Świr opadł na czworaki i pochylił się naprzód, bezmyślnie rozdzielając usta. Znienacka naganiacz cisnął kurczaka do zagrody z taką siłą, że aż pióra zawirowały w powietrzu.

Świr ruszył w stronę ptaka, potrząsając czarnymi kłakami bawełnianej peruki. Rzucił się na zdobycz, ale ta, w rozpaczliwym odruchu przetrwania, rozpostarła wątle skrzydła i czmychnęła w bok. Wciąż na czworakach, puścił się za nią.

Po raz pierwszy jego umazana makijażem twarz jakby ożyła. Nabiegłe krwią ślepie miał prawie zamknięte. Stan dojrzał bezgłośny ruch jego warg. Zdawały się mówić: „Ty skurwysynku”.

Młodzieniec wymknął się chyłkiem z tłumu, który jak zahipnotyzowany wpatrywał się w widok przed sobą. Idąc sztywnym krokiem, z rękami w kieszeniach, kierował się do wyjścia.

Z czeluści zagrody dobiegło histeryczne gdakanie i głośny rechot, a gapie wciągnęli powietrze. Pijak walił brudnym słomkowym kapeluszem w barierkę.

– Bier jom, synek! Bier ta kura!

Nagle któraś z kobiet wrzasnęła i zaczęła niezdarne podskakiwać; tłum wydawał jakieś pierwotne dźwięki, coraz mocniej napierając na ogrodzenie i przechylając się przez jego deski. Rechot ustał znieca, szczęknięły zęby, a potem rozległo się ciężkie sapanie.

Stan wcisnął ręce głębiej w kieszenie. Uchylił brezentową połę namiotu i wrócił na główny plac spektaklu „Dziesięć za jedną opłatą”; przeszedł na drugą stronę, dotarł do furki i zatrzymał się, żeby popatrzeć na całe to jarmarczne piekielko. Kiedy wyjął ręce z kieszeni, w jednej z nich trzymał lśniąca półdolarówkę. Sięgnął po nią drugą ręką i nagle znikła. Wtedy, uśmiechając się w myślach z pogardą i triumfem, przeciągnął dłonią po nogawce swoich białych flanelowych spodni i moneta znów znalazła się w jego garści.

Na tle letniego wieczoru światła diabelskiego młyna migotały wesoło niczym górskie kryształ, za to organy parowe, sądząc po wydawanych dźwiękach, ledwo zipały.

– Chryste Panie, ależ upał, co, młody? – Clem Hoately podszedł do Stana, ocierając chusteczką pot z paska swojej panamy. – Słuchaj, Stan, podskocz no do budki po butelkę lemoniady. Masz tu dziesiątaka; sobie też kup.

Kiedy Stan wrócił z zimnymi napojami, naganiacz z wdzięcznością przechylił swoją butelkę.

– Jezu, piecze mnie w gardle jak byka w dupie przy wyroju much. Stan powoli sączył swoją lemoniadę.

– Panie Hoately?

– No? Co tam?

– Skąd się bierze takich świrów? A może trafił nam się unikat? Bo czy można się takim urodzić? Żeby lubić odgryzać kurze łby?

Clem powoli przymknął jedno oko.

– Coś ci powiem, młody. Nie pytaj kuglarza o jego sztuczki, to nie usłyszysz łgarstw.

– Może i racja. Ale to w końcu gdzie pan go znalazł? Przypadkiem, za jakąś stodołą, jak on tak... akurat... no... a pan z tego zrobił numer?

Clem zsunął kapelusz na tył głowy.

– Lubię cię, młody. Bardzo. Więc sprawię ci miłą niespodziankę. Nie dam ci kopa w dupę, kapujesz? To moja niespodzianka.

Stan wyszczerzył zęby w uśmiechu, ani na chwilę nie odrywając chłodnych jasnoniebieskich oczu od twarzy starszego mężczyzny.

Nagle Hoately ściszył głos.

– Jesteśmy kumplami i tylko dlatego nie będę ci tu wciskał pierdół. Pytasz, skąd się biorą świry. Więc posłuchaj: ich się nie znajduje. Ich się urabia.

Dał mu chwilę na przetrwanie tej informacji, ale na twarzy Stantona Carlisle'a nie drgnął żaden mięsień.

– Kapuję. Ale jak?

Hoately chwycił młodziaka za poły koszuli i przyciągnął go do siebie.

– Słuchaj no, młody. Mam ci to dać na cholernym obrazku? Wybierasz gościa, jeszcze nie świra, pijaka. Otepiatego codzienną flaszką gorzały. I mówisz mu tak: „Miałbym dla ciebie robótkę. Chwilową. Musimy znaleźć nowego świra. A póki co ty wskoczysz w jego łachy i trochę poudajesz”. I jeszcze: „Nie musisz nic robić. Chowasz w dłoni żyłkę, a kiedy chwycisz kuraka, ciach go w szyję i niby pijesz krew. Ze szcurami tak samo. Frajerstwo się nie połapie”. – Hoately

potoczył wzrokiem po jarmarcznym tłumie, zanim znów spojrzał na Stana. – No i robi tak przez tydzień, a ty pilnujesz, coby miał pełną flachę i wyro, coby mógł odespać. Tyle mu trza i ma się jak w niebie. A po tym tygodniu gadasz do niego tak: „Nic z tego, stary, muszę mieć świra, jak się należy. Już nic mi po tobie”. Naje się strachu, bo rasowego pijusa nic nie przerazi bardziej niż posucha i nawrót majaków. Więc zaraz spyta: „No, ale jak to? Nie przykładam się do roboty?”, a ty na to: „Gówniana taka twoja robota. Udając świra, nie przyciągniesz ludzi. Oddawaj łachy. Wynocha”. I odchodzisz. Wtedy on goni za tobą, błaga o szansę, a ty rzucasz: „Okej. Jeszcze dziś wieczór, potem wylatujesz”. Ale dajesz mu flaszkę. Wieczorem wstawiasz dłuższą gadkę niż zwykle. A kiedy ty nawijasz, on myśli tylko o tym, że straci gorzałę i jak nim będzie telepało. Dopóki mieiesz jężorem, ma czas na główkowanie. Potem rzucasz mu kurczaka. I świr gotowy.

Pokaz się skończył i ludzie opuszczali namiot, ale jakby bledsi, przygaszeni i milczący – wszyscy prócz tamtego pijaka. Stan przyglądał im się z tajemniczym, zadowolonym, zadumanym wyrazem twarzy. Z uśmiechem więźnia, który znalazł pilnik ukryty w nadzieniu placka.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova